OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA

DWUTYGODNIK LIPIEC—SIERPIEŃ 1938 NR 7—8 ROK VI

NUMER NINIEJSZY WYDAJEMY W CHARAKTERZE ANONSU

W pismie naszym następuje zasadnicza zmiana. Chcemy ją w tej chwili zapowiedzieć Doszliśmy bowiem do wniosku, że dzisiaj, w dobie inflacji tygodników i dwutygodników, w dobie, gdy każde najpoważniejsze zagadnienie staje się tematem krótkich niewyczerpujących artykułów, gdy nie sposób jest na łamach pisma o tak małej objętości, jak PAX, wyczerpująco omówić żadnej poważniejszej sprawy; gdy czasopisma przyzwyczajają czytelnika DO POWIERZCHOWNEGO ŚLIZGANIA SIĘ PO NAJWAŻNIEJSZYCH NAWET ZAGADNIENIACH **odczuwa się potrzeba pism obszerniejszych objętościowo, o gruntowniej przemyślanych i bardziej wyczerpująco napisanych artykułach, chociażby nawet rzadziej się ukazujących.**

W ZWIĄZKU Z TYM POSTANOWILIŚMY PRZEKSZTAŁCIĆ NASZE PISMO NA

KWARTALNIK

POLSCE TRZEBA GŁĘBSZYCH PRZEMYSLEŃ

To też publicystyka, która ma ambicję wywierania głębszego wpływu i tworzenia bardziej trwałych wartości, nie powinna gonić za aktualnością dnia, czy tygodnia, lecz ZA AKTUALNOŚCIĄ EPOKI. Forma publicystyki jutra — to książka i czasopisma kwartalne czy miesięczne. — Zastanawialiśmy się długo nad tą zmianą, którą projektujemy. Zdecydowaliśmy się na nią, wierząc, że potrafimy dzięki niej z większym pożytkiem służyć pod tym sztandarem, pod który zaciągnęliśmy się przed 6-ciu laty. W nowym okresie wydawniczym mamy zamiar

ROZSZERZYĆ WACHLARZ ZAGADNIEŃ

omawianych w pismie. Mamy prosić o współpracę SZEREG NOWYCH POWAŻNYCH PIÓR. Pozatem uważając, że nie powinniśmy zamykać oczu na przemiany zachodzące za granicą, rozbudowujemy dziś SIEĆ KORESPONDENTÓW ZAGRANICZNYCH.

Jesteśmy pewni, że PAX w nowych ramach będzie niemniej bliski WAM, Przyjaciele nasi, i że będziemy mogli służyć Wam lepiej, niż robiliśmy to dotychczas.

PIERWSZY NUMER KWARTALNIKA PAX UKAŻE SIĘ W DRUGIEJ POŁOWIE PAŹDZIERNIKA

WYDAWNICTWO PAX

KIEDYŻ NARODZI SIĘ KONRAD

Tak już to jest, że skoro chcemy mówić o jakiejkolwiek kwestii, ważnej i aktualnej, związanej jak najściślej z życiem codziennym, z konkretem, z czarnym razowcem chleba, przychodzą nam na myśl analogie zaczerpnięte z literatury. I nie jest to tylko inteligenckie bujanie w obłokach, nie jest to tylko teoretyzowanie. Przyczyna leży niestety w tym, że największe zdobycze osiągnęliśmy na polu literatury, że słuszny jest okrzyk Wyspiańskiego:

— Poezjo, precz! Jesteś tyranem.

Wciąż żyjemy sobie poezją, a jeśli nie stać nas na poetyckie natchnienie, pozwalamy sobie na poetyckie grafomaństwo i to nietylko w literaturze. Był sobie ongiś młodzian, którego nazywano Gustawem. Ow Gustaw cały krąg życia zamknął w zagadnieniu nieszczęśliwej miłości do pasterki. I jak upiór chodził po świecie, strasząc poczciwych księży i małe dzieci, przedstawiał zeschłe gałęzie za swych przyjaciół i popełniał efektowne samobójstwa, po których deklamował sobie dalej o miłości.

Aleć oto z owym zwariowanym zlekka Gustawem poczęły z czasem dziać się rzeczy niespodziewane. Były bowiem nieszczęścia większe, sprawy tysiąckroć poważniejsze, przełomy bardziej tragiczne, niż obojętność uroczej pasterki i rozdarte romantycznie serce. I oto zachodzi nagły cud, przemiana, metamorfoza — Gustaw zamienia się w Konrada. Można nie idealizować Konrada, można go sobie odbrązawiać, ale Konrad widzi, a Gustaw jest zaślepiony.

Rozwichrzony poetyczny Gustaw jest dla nas niewątpliwie sympatyczny. Ale — niestety jest także niezmiernie symptomatyczny i ma w życiu dzisiejszym tysiące sobowtórów. Nie mówimy oczywiście o tych, co myślą jedynie o karierze i groszoróbstwie. Ale ci, co w naszym

życiu państwowym widzą istotnie tkwiące w nim zło, co chcą szczerze zbawienia ojczyzny, ci co są mocni i zdecydowani — odegrywują ostatecznie role tragicznych Gustawów. Bo Gustaw, choć był postacią tragiczną, nie był postacią poważną — nie znał i nie rozumiał życia. Poetyzował. Podobnie dziś poetyzuje cała Polska, bawiąc się w przeróżne tragedie polityczne, biorąc udział w grach i rozgrywkach, szastając się i prastając, robiąc miny poważne i popełniając samobójstwa, by potem znowu wstać w upiornej postaci i znowu przeżyć dramat zawiedzionych ambicji — od początku.

Tak jakby nie było istotnych problemów do rozwiązania. Tak jakby sił Polska miała do zbytku. I tajemnicę tego można zrozumieć, przeczytawszy głęboką i mądrą charakterystykę Znanieckiego tych, których nazywa „ludźmi zabawy". (Ludzie teraźniejsi a cywilizacja przyszłości).

O co im wszystkim chodzi? Każdy Gustaw odpowie z emfazą:

— O wielką, potężną, szczęśliwą Polskę.

A przecie Polskę możnaby wyobrazić sobie rozmaicie. Właśnie Polskę i wielką, i potężną i szczęśliwą.

Mogłaby być Polska biało-czerwona — Polska narodowa, w takim czy innym wydaniu. Niewątpliwie miałaby wielkie trudności do rozwiązania, trudno jednak przypuszczać, że nie potrafiłaby tych trudności przezwyciężyć. Polska narodowa w wydaniu bardzo zbliżonym do ideologii Endecji.

Mogłaby być Polska czarna faszystowska, Polska O.N.R.-u, Jutra Pracy i t. p. ideologji, Polska totalistyczna, radykalna i narodowa. To jest również pewna zupełnie wyraźna koncepcja, któraby mogła doprowadzić Polskę do wielkości i mocy.

Mogłaby być Polska zielona — Polska ludowa, gdzie ster państwa ująłby w ręce chłop i budował państwo w oparciu o ideologię ludową.

Mogłaby być Polska błękitno-szara — Polska legionowo-demokratyczna, Polska w dużej mierze lewicowa, ale liberalna w dodatnim tego słowa znaczeniu. Powiedzmy — horrabile dictu — Polska naprawiacka.

Kto ma dobrą wolę, ten przyzna, że choćby mu ta czy inna Polska nie odpowiadała w kolorze, byłaby to zawsze Polska, a to jest rzeczą istotną, i mogłaby to być Polska potężna i wielka, a to również jest sprawą istotną. Byleby Polska była naprawdę Jakaś, nie zaś jak dzisiaj, szarpana na prawo i lewo, zamglona frazesami.

Przypomnijmy sobie przemądre słowa Adama Mickiewicza z „Ksiąg Pielgrzymstwa i Narodu Polskiego", przypomnijmy przypowieść o złych lekarzach i dobrym synu. Trzeba odróżnić rzeczy ważne od nieistotnych. Zakończyć wreszcie spór o kolory. Nie jest ważne kto robi i w jakim kolorze, ale co się robi i jak robi. Chodzi o to, co się w Polsce buduje i tworzy. Trzeba by Polska była bogata, rządna, sprawiedliwa, by obywatel nie był poniewierany, aby był światły, moralny, syty, by miał możność korzystania z nieprzebranych bogactw kultury polskiej. A można to osiągnąć na różnych drogach, rozmaitymi sposobami. Ale trzeba ... osiągać. Trzeba budować ... Nie gadać, nie kłócić się ...

Niech zginie Gustaw, a wstanie Konrad. Gustaw frazeologiczny, zakłamany, zacietrzewiony, niech ustąpi miejsca Konradowi, który rozumie to co najważniejsze. Więcej jest w Polsce patriotów niż się zdaje i w różnych obozach.

Złamać trzeba przeklęte więzy ekskluzywizmów ruchowych, partyjnych, grupowych czy innych. Trzeba budować — ot co!

FRANCISZEK CZERWISKI

POLITYKA ZAGR. O.N.R. „FALANGA"

W pierwszym n-rze „Przełomu" nowego organu grupy „Falangi" ukazał się artykuł p. T. Lipkowskiego p. t. „Imperium Polskiej Cywilizacji". Redakcja podaje na wstępie, że poglądy autora odpowiadają tylko jednemu z prądów nurtujących wewnątrz organizacji. Niemniej jednak artykuł jest tak znamienny, że warto mu poświęcić nieco krytycznej uwagi.

Jako pierwsze założenie wymienia autor zasadę iż: „W łonie narodu ... nie może być sprzecznych poglądów na kierunek rozwoju narodu, a więc i na zasadniczą linję polityki zewnętrznej". Autor uważa widać za szkodliwe współistnienie takich programów jak n. p. frontu z Morges z jednej strony, a grupy „Myśli Polskiej" czy „Słowa" z drugiej. Naszym zdaniem twierdzenie to nie jest zupełnie słuszne. O ile istotnie jest rzeczą pożądaną, aby rząd był jednolity w zapatrywaniach na politykę zagraniczną, o tyle czasem dobrze jest aby w opinii publicznej jednocześnie współistniały rozmaite poglądy, nie mające zresztą doraźnego wpływu na kierunek rządów. W razie niepowodzenia polityki rządowej, te opozycyjne frakcje opinii mają bowiem dla państwa dużą wartość wobec zagranicy. Tak n. p. dobrze było dla Węgier, że w r. 1918 doszedł do władzy Karolyi, znany jako zwolennik ententy. Podobnie dobrze było, że w Niemczech mogli objąć władzę socjaliści i Erzberger. Klęska Francji w r. 1814 byłaby o wiele cięższa gdyby nie miała ona do rozporządzenia Burbonów, którzy w czambuł potępiali całą politykę zagraniczną rewolucji i cesarstwa. Nie jest wcale wykluczone, że Polska kiedyś w przyszłości będzie musiała się znów ubiegać o pomoc Francji i dlatego nie jest źle, że istnieją u nas rozmaite prądy, choćby nawet realizacja poglądów w jednego z nich miała być dzisiaj szkodliwa.

Jako trzecie założenie wysuwa autor tezę, że misji dziejowej nie może realizować naród „skłócony wewnętrznie". Jest to słuszne, ale szkoda, że autor nie sprecyzował na czym to skłócenie polega. Można je bowiem albo rozumieć jako legalną walkę stronnictw politycznych o wyborców, albo jako wojny domowe będące zwykle — nawet zawsze — następstwami dyktatur. Obie formy skłócenia mają swoje złe strony dla polityki zagranicznej. Pierwsza czyni ją częściej zmienną i zależniejszą od opinii, druga, t. zn. wojny domowe w skutek dyktatur, powoduje czasowo zupełny rozkład państwa. Tak n. p. Rosja w skutek tego rodzaju zamieszek utraciła prawie wszystkie nabytki europejskie od czasu Piotra Wielkiego. Natomiast Wielkiej Brytanii w okresie skłócenia parlamentarnego udało się utworzyć wielkie imperium. To też dla polityki zagranicznej najkorzystniejsza zdaje się być via media w sprawach ustrojowych. Zagwarantowanie jej możliwej niezależności od opinii i ciągłości, przy jednoczesnym unikaniu dyktatury i jej smutnych następstw w innych działach życia publicznego.

W czwartym założeniu autor wypowiada tezę, że nowoczesny imperializm nie ogranicza się do granic etnograficznych, ale wyrusza na podbój innych narodów. Zdaje mi się, iż nie jest to cecha specyficzna nowoczesnego imperjalizmu, ale że dawniejsza polityka państw również dążyła bądź to do podbicia innych państw, bądź to pozyskania ich drogą podobieństwa rządzących państwami ideologii czy ustrojów. Dziś podbój innych narodów jest trudniejszy jak dawniej, gdyż poczucie narodowe narodów zacofanych rozwinęło się i nadzieje na asymilację można uważać za definitywnie przezwyciężone. Specyficzną cechą imperializmu takiego, jaki pojawił się po wojnie światowej poraz pierwszy w wyprawie Japonii do Mandżurii, jest przeciwstawienie się pacyfizmowi powojennemu. Poza tym żadnych nowych cech w tym imperializmie nie dostrzegam. Nie można bowiem przypuścić, że Abisyńczycy zapałali sympatiami do „Imperium Romanum" względnie, że obywatele Z. S. R. R. odczuwają jakiś pociąg do imperializmu rasy nordyckiej.

W piątym założeniu autor proklamuje, że Niemcy są najgroźniejszym wrogiem Polski. Zdaje się, że autor tu źle sformułował swe twierdzenie. Należało raczej napisać, że Niemcy mogą od czasu do czasu być groźnym wrogiem dla Polski, nie zaś, że muszą nim być nieprzerwanie. Historia wskazuje, że w dziejach Niemiec okresy wrogiego nastawienia do Polski oscylują z okresami nastawienia przyjaznego, jak n. p. dziś. Twierdzenie swe autor motywuje naszym zdaniem również wadliwie. Twierdzi mianowicie, że Niemcy, podobnie jak Polska, widzą swą przyszłość na wschodzie i, że o ten wschód należy z nimi stoczyć walkę. Naszym zdaniem należy się cieszyć, że Niemcy widzą swą przyszłość na wschodzie, t. zn., że podtrzymują swój antagonizm z Rosją. Gdyby bowiem Niemcy nie widziały swej wielkiej przyszłości na wschodzie, odpadłby jeden z ważnych czynników ich antagonizmu z Rosją i prawdopodobnie na widownię dziejów wróciłby program odebrania Polsce tych powiatów nadgranicznych, które Niemcy utraciły w 1918 r. Imperializm Niemiec w kierunku wschodnim nie musi w każdym wypadku być szkodliwy dla Polski. Śmiesznym jest twierdzenie — którego zresztą p. Lipkowski nie wypowiada — iż dla utrzymania protektoratu nad rdzenną Rosją, Niemcy potrzebowaliby z nią połączenia lądowego. Jakgdyby Francja, Anglia i Italia miały połączenie lądowe choć z jedną ze swych kolonii. Co natomiast, w razie uzyskania takiego protektoratu, byłoby dla Niemiec niezbędnym, to właśnie utrzymanie dobrych stosunków z Polską, bez którego trudnoby sobie wyobrazić możności utrzymania przez nich w ręku rdzennej Rosji. O ile przez misję dziejową Polski określimy zwiększenie naszego wpływu na Ukrainę i Białoruś, droga do jej realizacji nie prowadzi przez walkę z Niemcami, ale właśnie raczej przez porozumienie.

Autor zdaje się zresztą zgadzać się z nami, że „etapach" polityki polskiej, ma przyjść najpierw podział Rosji, a po tym dopiero ewentualna walka z Niemcami. Ale na ten temat wogóle nie można mieć żadnych wątpliwości. Wątpliwość może zachodzić jedynie odnośnie do pytania, czy drugi etap wogóle miałby w obecnej sytuacji etnograficznej — jakiś sens. Nie może być wątpliwości dlatego, że za załatwienie jakiegoś etapu w polityce można tylko uważać — przynajmniej na dość długi okres czasu — przywołanie do życia nowego państwa, opartego na realnej sile narodowej, lub przyłączenie do swego państwa prowincji zamieszkałej swój naród. Jakim natomiast „etapem" byłaby nawet zwycięska wojna — Polski z Niemcami? Autor nazywa tę wojnę „ostateczną decydującą, orężną rozprawą, my albo oni". Czy można przypuszczać, że jakakolwiek wojna z Niemcami byłaby ostateczna decydująca? Jakież byłyby nowe siły, któreby można przeciwstawić istniejącemu nadal narodowi niemieckiemu, w skutek tej wojny? Czy może miliony Niemców wewnątrz naszego państwa w skutek zabrania Prus Wschodnich i Śląska? Czy może autor wierzy w podział narodowego państwa niemieckiego w skutek nacisku z zewnątrz? Zwycięstwo Polski nad Niemcami nie mogłoby w żaden sposó zmienić stosunku sił obu państw w sposób trwały, nawet w sposób tak trwały jak wojna światowa. Polska niema nic do zyskania na Niemczech. Dlatego konflikt z nimi winna się starać możliwie opóźnić. Natomiast prawdziwym „etapem" politycznym byłby podział Rosji na szereg państw narodowych, któreby się wzajemnie neutralizowały.

Otóż w obecnej sytuacji międzynarodowej trudno wyobrazić sobie zwiększenia wpływu Polski na Ukrainę i Białoruś bez ścisłego współdziałania ze wschodnim imperializmem niemieckim. Autor wymienia okazję wojny rosyjsko-japońskiej, którą należałoby wyzyskać. Zgadzam się z nim w zupełności, ale uważam że, jakakolwiek aktywna polityka wobec problemu rosyjskiego w tym wypadku nie byłaby możliwa, gdybyśmy jednocześnie chcieli interweniować w Rosji i osłaniać Rosję przed Niemcami. Otóż zrozumienia dla porozumienia z Niemcami jako koniecznego warunku akcji wschodniej Rzeczpospolitej u p. T. Lipkowskiego — nie dostrzegam.

P. Lipkowski głosi imperializm na wszystkie strony. Symbolizuje to najlepiej hasło trzech mórz. Otóż sama realizacja i utrzymanie programu wschodniego wymagałaby od Polski takiego wysiłku, że wydaje się mało prawdopodobnym, aby bezpośrednio później możliwa była realizacja programów imperialistycznych w innych kierunkach. Głoszenie ich dziś może zaś jedynie wywołać zaniepokojenie i przyczynić się do koalicji sąsiadów przeciw Polsce, czyli o najgorszej dla nas konstellacji, która bywała w ostatnich wiekach następstwem imperializmu na wszystkie strony uprawianego przez Habsburgów, później przez Ludwika XIV, Napoleona i wreszcie przez Niemcy Wilhelma II. Nie jest to droga, po której winna postępować nasza polityka. Nie wydaje się również pożądanym, aby była dla niej pozyskiwana opinia publiczna.

W powyższych krytycznych uwagach staraliśmy się omówić te części wywodów p. Lipkowskiego, które nasuwają nam wątpliwości. Poza nimi artykuł zawiera jeszcze wiele uwag niezwykle trafnych i godnych jaknajszerszego rozpowszechnienia. Jeśli zestawimy je z jasnym i przekonywującym sposobem pisania, to będziemy mogli wyrazić przypuszczenie, że w osobie p. Lipkowskiego publicystyka polska poświęcona zagadnieniom międzynarodowym zyskała młodą i bardzo obiecującą siłę. Ponieważ zaś najlepszy dotychczasowy pisarz polityczny „Falangi" p. W. Wasiutyński również zdaje się ostatnio hołdować programowi wschodniemu Polski, zdaje się pewnym, że całe to ugrupowanie w tej najważniejszej dla Rzeczpospolitej sprawie, wkroczyło na właściwe drogi.

IRENA SŁAWIŃSKA

CZŁOWIEK W DRAMACIE K. ROSTWOROWSKIEGO

Dramat Rostworowskiego stara się dotrzeć do samego człowieka: oto naczelne, najistotniejsze jego zadanie. Zasłonić w każdym jego cechy przypadkowe, a ukazać wspólny rdzeń człowieczeństwa — w tym kierunku rozwija się twórczość Rostworowskiego już od pierwszych jego utworów scenicznych aż po trylogię, gdzie najpełniej i najżywiej jawi się „człowiek absolutny", nie związany ze środowiskiem społecznym ani epoką.

Chesterton nazwał jedną ze swoich książek „Everlasting man" — wiecznie trwający, wieczysty człowiek. I Rostworowski sięgnął także do „wieczystego człowieka", który jest w istocie swej taki sam w epoce Chrystusa jak w dzisiejszych czasach.

Uderzy nas może, że u Rostworowskiego spotkamy zawsze człowieka upadłego lub na drodze do upadku. Widocznie tacy ludzie bardziej pociągali poetę jako dramatyczne tworzywo. Jeżeli jednak zbliża się Rostworowski do chorych i ginących, to kładzie na nich zawsze refleks współczucia. Nawet w najgorszych zbrodniarzach szuka autor owego człowieczeństwa, którego ukazanie nawiązuje ogólne braterstwo między ludźmi, stawia wszystkich na jednej płaszczyźnie. Mimo woli nasuwa się tu nazwisko Mauriac'a.

Łączy ich obu pasja do sondowania duszy ludzkiej, a zwłaszcza do odarcia jej z wszystkich sztucznych warstw zakłamania i frazesu. Obaj też — ku oburzeniu krytyki — zwrócili się przede wszystkim do istot moralnie słabych i dalekich od Boga. Ale ponad surowym osądem unosi się nad dziełem obu pisarzy duch prawdziwego miłosierdzia. Oczywiście nie może być przypadkowy

fakt, że obaj pisarze sprzęgnięci są z katolicyzmem. Ich postawa względem człowieka jest prostą konsekwencją wiary w obecność Bożego pierwiastka w duszy ludzkiej. Tym się tłumaczy tak częsty u Mauriac'a proces dźwigania się duszy ludzkiej z dna nędzy i upadku. Mauriac każdej z nich potrafi wskazać drogę powrotu do Boga. — Postacie Rostworowskiego nie przeżywają nawrócenia: autor zostawia je w upadku, odsłoniwszy na chwilę ich istotne, ludzkie oblicze.

Problem „człowieka" pojawia się już w najwcześniejszych dramatach Rostworowskiego. W „Studium dramatycznym" z 1913 r., „Żeglarze", występuje on na tle kompleksu rodziny. Matka narzuca dziecku miłość do ojca pijaka i degenerata; dorosły już syn wybuchnie kiedyś żalem. Dlaczego kazano mu czcić tak marnego człowieka? Gdy jednak ojciec ma wyruszyć na niebezpieczną wyprawę, pierwszy impuls każe synowi ratować ojca: przecież to jednak człowiek! To dwukrotne postawienie człowieka na miejscu ojca prowadzi do stwierdzenia, że związki społeczne czy węzły krwi między ludźmi są także czymś przypadkowym, accidensem.

Potężny, patetyczny wyraz dla tego problemu znajdzie Rostworowski w swoim dramacie historycznym „Judasz z Kariothu". Autor ujął tę tak bardzo częstą w literaturze postać niezmiernie oryginalnie przez to właśnie, że pozbawił ją literackiej stylizacji: lucyferyzmu, demonizmu. Judasz w dramacie Rostworowskiego nie wyrasta niczym ponad swoje otoczenie. Należy do niego, jest jednym z Galilejczyków małego serca, tej rzeszy, która „żądała znaków". Ubogi rybak galilejski, właściciel małego sklepiku, Judasz, żyje całkowicie w kręgu codziennej krzątaniny o kawałek chleba. Gdy w Galilei rozpoczyna nauczać Chrystus, Judasz zrazu trzyma się zdaleka, niepewny, czy nie ściągnie na siebie niełaski kapłanów. Później cuda go znęcą tak, że przystanie do apostołów. Zawsze jednak pozostanie coraz bardziej rażąca dysproporcja między jego małodusznością, a wielkością sprawy, do której został wezwany. Judasz nie dorósł do apostolstwa i dlatego nie jest w stanie udźwignąć jego ciężaru. Już jako jeden z apostołów będzie się tylko troszczył o doczesną władzę Chrystusa i o zewnętrzny blask: wystara się o piękną szatę, wyreżyseruje uroczysty wjazd do Jerozolimy.

Zdradę popełni z tchórzostwa. Arcykapłani wykorzystają jego słabość: we wspaniałej scenie w Sanhedrynie Kaifasz gra na duszy Judasza. Arcykapłan wie, że człowiek ten ulęknie się zdecydowanej postawy, autorytatywnego tonu. I rzeczywiście, pod wpływem twardych słów Kaifasza, Judasz kurczy się, maleje, oddaje się jego woli.

Z postacią Judasza wiąże się jednak dużo patosu niemal w etymologicznym sensie wyrazu. Judasz naprawdę cierpi: widzi swoją nędzę, odczuwa upokorzenie zarówno ze strony arcykapłanów jak i żony Racheli. Miłość do żony, bardzo subtelnie wycieniowana w dramacie, mogła dźwignąć Judasza — ale między Rachelą a mężem coraz bardziej pogłębia się przepaść. Ona należy już do innego świata, gdzie Judasz nigdy nie dotrze.

Podobnie zbliżył się Rostworowski do drugiej postaci historycznej, „Cezara Cajusa Caliguli" (1917) Caligula przeszedł do historii jako tyran i obłąkaniec. Rostworowski usiłował znowu odsłonić tylko c z ł o w i e k a. Całe otoczenie Cezara pozostaje pod dziwnym urokiem tego degenerata, który wciąż rzuca im w oczy ich własną małość. I rzeczywiście otaczają go ludzie tak marni, że nawet wobec tego pół-trupa nie odważą się na żaden zdecydowany czyn. Spiskowcy, nagle opętani dziwnym czarem Cezara, rzucają mu broń pod stopy i przysięgają wierność. Ale w ostatniej chwili, w obliczu realnego niebezpieczeństwa objawia się prawdziwy Caligula: purpura Cezarów okrywa wątłe, tchórzliwe ramiona. Cezar boi się spiskowców i śmierci.

Wielokrotne stwierdzenia, że człowiek zawsze ten sam, niezmieniony, pojawia się poprzez cały ciąg historii, prowadzi Rostworowskiego do coraz ogólniejszych ujęć. Bohaterką następnych jego dramatów: „Miłosierdzie" (1920) i „Straszne dzieci" będzie już cała ludzkość. Oba dramaty pisał Rostworowski z myślą o teatrze marionetek. Sama koncepcja teatru marionetek wskazuje na zmianę zainteresowań, na apsychologizm należących tu dramatów.

Ale w ostatniej fazie twórczości, w okresie powstania trzech utworów: „Niespodzianka", „Przeprowadzka" i „U mety" znów wraca Rostworowski do pojedyńczego człowieka. Dokoła „Niespodzianki", gdzie rzecz się dzieje w chałupie wiejskiej, rozsnuto sugestię dramatu ludowego: autor bronił się przed tą sugestią, podkreślał, że chodzi mu wyłącznie o „tajemniczą głąb człowieka".

Bohater „Niespodzianki", Franek, nie jest przecież reprezentantem pewnego środowiska, ale człowiekiem, który w dążeniu wzwyż w sensie intelektualnym i społecznym musi stanąć twarzą w twarz z istotnymi problemami. Franek musi wybrać pomiędzy swoją przyszłością naukową a ideałem moralnej nieugiętości. W obliczu tej decyzji Franek zawaha się; byłby może się ugiął, gdyby nie stał obok niego Felek Zając, prawdziwy, pełnowartościowy człowiek, który swoim wrodzonym instynktem moralnym nienawidzi kompromisu i nie pozwoli Frankowi upaść.

Postać Franka dlatego staje się w utworze tak prawdziwie i głęboko ludzka, że prowadzi go autor poprzez upadki i wzloty aż do śmierci, która w perspektywie całej trylogii nabiera symbolicznego niemal znaczenia: ostatnia próba kompromisu (ukrycia swojej przeszłości i pochodzenia) mści się na Franku najokrutniej.

Galeria postaci w całej trylogii odznacza się wielkim bogactwem i różnorodnością. Za punkt wyjścia służą Rostworowskiemu ludzie zwykli, niemal szablonowo pojęci: autor umie jednak dotrzeć do ich wnętrza, pokazać, jak powstaje szablon. I tak n. p. Matka w „Niespodziance" jest tylko matką, całkowicie oddaną dzieciom i dla nich żyjącą. Dlatego popełnia zbrodnię. Nurt jej przeżyć, zawiedzionych ambicji i nadziei staje się tak żywy i przekonywujący, że poprzez tę postać objawia się wogóle Matka — Genitrix.

Jakże pyszną kreacją jest stary Cimkiewicz w ostatnim dramacie — „U mety". Znowu autor nie chciał łamać szablonu dorobkiewicza, ale niejako wysondować ten schemat, „typ", sięgnąć wyłącznie wgłąb. Zewnętrznie Cimkiewicz nie różni się niczym od różnych „bourgeois gentilhomme", tak popularnych w literaturze. Tak samo dba o bogatą wystawę, wstydzi się i ukrywa swoje parweniuszostwo. Jest to jednak żywy, czujący człowiek, który cierpi, chce szczęścia córki i dla niej wyłącznie popełnia wszystkie nieuczciwości.

Życie człowieka, tak tragiczne i bogate w przeżycia dla poszczególnych podmiotów, przetapia się na mieszczańską plotkę, niknie bez śladu jak cień. Na świeżą jeszcze klepsydrę Franka nakleją inną klepsydrę, starsi panowie wprost z pogrzebu wrócą do swojej codziennej pół-czarnej w kawiarni — nie zmieni się nic.

Powierzchnia życia rozwarła się na chwilę i ukazała swoją tragiczną głąb, by spokojnie zamknąć się znowu.

WCZORAJ I JUTRO

Odpowiadałem niedawno — trochę wbrew sobie — bo jestem przeciwny wszelkim ankietom — na ankietę p. t. „jaką najciekawszą książkę przeczytałem w 1937 r.?" Gdybym był czytał w 1937 r. książkę Mosdorfa „Wczoraj i jutro", ją właśnie wskazałbym jako tą najciekawszą z przeczytanych. To nie znaczy, że najlepszą, ale w każdym razie najciekawszą.

Autor książki należy do tego samego co i ja pokolenia. Te kilka lat różnicy — stanowiące wiele w okresie, gdyśmy obaj uczęszczali na uniwersytet — zatarły się obecnie prawie zupełnie. Należymy obaj do jednego pokolenia, do pokolenia, które skrzepło już w niepodległej Polsce. I dlatego potrafimy siebie zrozumieć choć inna była ewolucja rozwojowa każdego z nas i innymi drogami zbliżaliśmy się do kształtowania swojego światopoglądu.

Mosdorf przez czas pewien uprawiał działalność polityczną. Nie chciałbym tutaj krytykować tej działalności, nie chciałbym również wyrażać poglądu na temat, czy akcja podjęta przez grupę, której przewodniczył była akcją całkowicie przemyślaną. Na te rzeczy nie ma tutaj miejsca. Obecnie, od paru lat pisarz w oddaleniu od życia politycznego przetrawia — z całą sumiennością — problemy nurtujące młode pokolenie polskie. Rezultatem tych przemyśleń stała się wymieniona książka. Książka niewątpliwie wyjątkowa, stanowiąca prawdziwą syntezę chwili obecnej.

Punktem wyjścia rozważań pisarza jest przeżywany kryzys. Nie tylko kryzys gospodarczy uważany tak chętnie przez nieustępliwych obrońców ekonomiki liberalistycznej za okresową depresję stanowiącą tylko objaw spiżowego prawa systemu, ale kryzys w najszerszym pojęciu tego słowa, kryzys pojęć, doktryn, idej i poglądów. Ten kryzys jest czynnikiem nieodłącznym katastrofy o rozmiarach wprost kosmicznych, katastrofy, która nawiedziła ludzkość i która sprawiła, że wypracowany przez wieki system, ujmujący wszystkie zjawiska zachodzące zarówno na zewnątrz człowieka, jak i w jego wnętrzu, zawalił się nagle niemal w ciągu jednego czterolecia. Na jego miejscu pozostała próżnia. Jeżeli chrześcijaństwo potrzebowało 12 wieków, aby ująć w karby i opanować chaos wywołany rozpadnięciem się w gruzy doby starożytnej, to trudno jest wymagać, aby ludzkość, stojąc wobec całkowitego bankructwa myśli antropocentrycznej, charakteryzującej powrotną falę pogaństwa, potrafiła w ciągu kilkunastu zaledwie lat zbudować nowy system.

Dawny system zbudowany z niezwykłą dokładnością, niemal z precyzją, wykazywał tendencję schematyzowania. Człowiek automatycznie szuka wokół siebie ładu i porządku, ponieważ każdy chaos i rozpętanie sił, od niego potężniejszych budzi w nim łatwy do zrozumienia strach. Lecz bezład, który obserwuje wśród zjawisk mających swe źródło na zewnątrz układu, mieszkaniec mikrokosmu, może być przejawem ładu i porządku w skali makrokosmicznej. Pies wyje często słysząc muzykę, jakby go niepokoiła ta niepojęta dla niego składnia dźwięków. Natomiast człowiek rozumie muzykę i nie przejmuje się wywoływanymi przez siebie dźwiękami, skolei jednak sam daje się opanować przerażeniu, znalazłszy się w zasięgu obcych dla siebie dźwięków, n. p. pozostawszy samotnie w polu w obliczu huraganu.

Ład może być budowany tylko w skali makro a nie mikrokosmicznej. Gdyby jego ścisłe prawa dawały się sprawdzić w każdej skali, stanęlibyśmy w obliczu szablonu nazwanego przez Mosdorfa „spójną jednolitością". Zbudujmy ludzkość z tysięcy i milionów x-ów i y-lonów, a otrzymamy realizację najtragiczniejszej z utopii, otrzymamy „Nowy, wspaniały świat"!

Lecz ludzkość, poczynając od XIV w. starała się właśnie stworzyć ład na użytek i miarę poszczególnego człowieka. Starała się to zrobić wbrew dokonywanym przez się odkryciom. Gdy Kopernik zepchnął ziemię z jej dominującego we wszechświecie stanowiska, człowiek doby renesansu — jakby się nie czuł tylko pyłkiem na kręgu drobnej planety — starał się siebie utożsamić ze słońcem. Ta megalomania człowiecza stała się fundamentem systemu ekskluzywnego dla każdej istoty nie będącej człowiekiem. A że ład i porządek domagał się zachowania hierarchii, automatycznie wraz z uznaniem praw k a ż d e g o człowieka wyrastać poczęły zręby bezwzględnego władztwa człowieka nad człowiekiem. Zasadę „Bóg nad człowiekiem" zastąpiono zasadą „człowiek nad człowiekiem", a równolegle do haseł wyzwolenia jednostki pojawiać się poczęły hasła silnej władzy i teoria przewodzenia. Dzieła Marxa i Machiavellego złożyć się musiały na sylwetkę Stalina.

Ten system zawalił się, a musiał się zawalić gdy zawiodły wszystkie podstawy naukowe, które jego słuszność umacniały. Antropocentryzm opierał się na materializmie i determinizmie. Szczegółowe badania nad człowiekiem wykazały, że nie jest on tylko „zjadaczem chleba" i że to nie strona fizyczna urabia w nim stronę duchową, ale przeciwnie, to czynniki wewnętrzne tworzą zewnętrznego człowieka. Nawet psychoanaliza wskazywała na ten prymat zjawisk psychicznych. Ostatnio dzieło A. Carrela — prawdziwa synteza naszej niewiedzy — podkreśla z całą stanowczością, że człowiek jest takim, jakim czyni go jego wola i pragnienie i nie w zadośćuczynieniu jego cielesnym zachciankom, ale w ich ograniczaniu drogą wysiłku i zrywu duchowego leży jego najpełniejszy rozwój. Natomiast rozpad determinizmu dokonał się równolegle z rozpadem atomu. Proces promieniowania — początkowo samorzutny w radzie i uranie — potem wywoływany świadomie przez bombardowanie atomów, wreszcie odkryty w zjawisku promieni kosmicznych, zbadanych zarówno w stratosferze jak i na dnie mórz i jezior, stał się podzwonnym dla determinizmu, nadwątlonego już mocno walką z względnością miar czasu i przestrzeni u Einsteina.

W kręgu tego zasadniczego kryzysu wszystkich pojęć stanęła Polska. Naród nasz — przypominają mi się tu zawsze słowa Doboszyńskiego — będąc znacznie mniej zaawansowany na drodze wchłaniania w siebie idej zeszłego wieku niż inne narody, ma tym samym znacznie ułatwioną drogę powrotną. Z drugiej strony charakterystyczne i właściwe tylko Polakom wady utrudniają pracę, skutkiem czego Polska, mogąc już od kilku lat wziąść inicjatywę w swoje ręce, znajduje się wciąż i wciąż na szarym końcu wielkich poczynań. Słusznie Mosdorf skierowuje naszą uwagę na „wady i braki nasze oraz na ich historyczne przyczyny", słusznie pisze z całą pasją i z temperamentem, nie żałując ciemnych — choć nie zaciemnych — barw dla odmalowania tylu zmarnowanych okazji i chwil.

Jeżeli rzeczywistość polska doby Piastów, czy Jagiellonów, czy też doby monarchów elekcyjnych jest już dzisiaj ze wszystkich stron zanalizowana i zbadana, to epoka od 1863 r. do chwili obecnej nie została jeszcze przez nikogo ujęta w jeden obraz. Jest to zresztą rzeczą zupełnie zrozumiałą, gdy zdamy sobie sprawę, że pokolenie ostatnich powstańców jeszcze nie wymarło, a trudno jest zdobyć się na krytyczny pogląd tam, gdzie tradycja żyje jeszcze i przemawia do nas siwizną głów i granatem mundurów. Mosdorf słusznie unika surowego sądu jakim często się szafuje w stosunku do powstań narodowych. Nie można przykładać miar jedynie zimnej logiki do zjawisk, których motorem było uczucie. Polska przedwojenna, rozdarta na trzy zabory nie miała — i nie mogła mieć — jednej myśli politycznej. A jednak z kalejdoskopu sprzeczności i odrębności wyłaniała się jedność i krystalizowała się w ten sposób, że często zdanie jednych było w rezultacie realizowane przez ich przeciwników politycznych. Jak w okresie rozbicia dzielnicowego, gdy ród Piastów jednocześnie dzielił i jednoczył kraj i gdy niewykształcony jeszcze instynkt narodowy uzupełniała świadomość, że wszyscy ci drobni władcy są jednak członkami tej samej rodziny, która umiała w swoim czasie stworzyć jedno państwo i trzykrotnie (a może czterokrotnie, bo cóż my wiemy o Bolesławie Zapomnianym?) ozdobić czoło swych przedstawicieli koroną, Polska wbrew przeróżnym — najczęściej sprzecznym tendencjom — potrafiła się zjednoczyć, tak samo antagonizmy personalne i ideowe pojawiające się w społeczeństwie polskim w dobie przed i wojennej nie mogły wpłynąć ujemnie na urzeczywistnianie się samorzutnego zjednoczenia, dokonującego się właśnie dzięki tym antagonizmom. Opowiedzenie się jednych w czasie wojny przy państwach centralnych umożliwiło tworzenie się pierwszych kadr armii polskiej, lecz armia ta pozostałaby tylko armią bez państwa, gdyby nie dyplomatyczna działalność innych ludzi, stających wobec zwycięskiej koalicji z gotowym programem państwowym.

O ile „wczoraj" u Mosdorfa jest wyjątkowo udanym i zapełnia poważną lukę, która dawała się odczuć w literaturze politycznej o tyle „jutro" ma mało cech oryginalnych. Nie chciałbym być zbyt surowym w ocenie, ale wydaje mi się, że autor zagubił się wśród precyzowania form przyszłego życia, natomiast zbyt słabo oddał jego wewnętrzną treść. To mało jest twierdzić, że przyszłe społeczeństwo musi być katolickie i pozbawione żydów. Ale jak ten katolicyzm ma wyglądać, bo wszak i o dzisiejszej Polsce mówi się, że jest państwem katolickim? Czy wystarczy liberalistyczna konstrukcja na modłę „nowej cywilizacji społecznej" Maritaina, czy też religia i moralność musi się się związać nierozerwalnie z każdym przejawem życia zarówno prywatnego jak i publicznego? Niewątpliwie — określenie tych rzeczy jest bardzo trudne, ale konieczne. „Nikt nie nalewa młodego wina w stare worki" powiada Pismo św., ale też nie warto jest nalewać starego wina w worki nowe — starej treści w nowe formy — jeżeli zależy nam na dokonaniu zasadniczej zmiany.

Mosdorf zwraca uwagę na heroizm przyszłego życia. Słusznie o tym pisze — trzeba z góry odciąć się od tych wszystkich, którzy stawiają sobie za jedyny cel zmierzanie do większego dobrobytu... danej jednostki, bez troski o pozostałość. Trzeba śmiało i jasno postawić przed człowiekiem obowiązek wyrzeczenia się. Sprawy tej — którą bym chętnie nazwał filozofią ascezy — nie poruszę jednak tutaj, pragnąc napisać na ten temat coś osobnego.

Chętnie bym podyskutował z autorem na temat spółdzielni rolniczych, których okazuje się gorącym zwolennikiem. Niewątpliwie — zgodzimy się na to chyba obaj — ustrój, o którym marzymy nie jest ustrojem zbyt mocno związanym z handlem. Pośrednictwo musi być ograniczone i sprowadzone do właściwej roli, którą jest wykonanie rzeczywiste pewnej usługi. To znaczy nie ma mowy o utrzymaniu handlu giełdowego opartego na brudnej zawsze grze na „haussę" czy na „baissę". Jednakże spółdzielnia jest także instytucją daleką od ideału, wprowadzającą szablon w miejsce swobodnej inicjatywy, grożący wszystkimi brakami przedsiębiorstwa monopolowego wyrabiająca mało ciekawy typ „urzędnika spółdzielnianego" w miejsce rzutkiego sprzedawcy, mało ruchliwa, oparta o sztywny, centralny aparat cen. Niewątpliwie spółdzielnia ma wyższość nad wolnym i niczym nieskrępowanym rynkiem, na którym nota bene uwijają się obok chrześcijańskich sprzedawców kupcy żydzi wprowadzający w grę swój nieetyczny światopogląd. Jednakże rynek, z którego żydzi zostaną całkowicie wyparci wolny, ale i odpowiednio uregulowany, nie da się nawet porównać z rynkiem spółdzielnianym. Jeżeli mówię o regulacji rynku mam tu przede wszystkim na myśli — niedoceniony mocno przez Mosdorfa — ustrój korporacyjny. Kupiectwo [illegible] przez instytucję, której zadaniem będzie nie hamowanie wolnej inicjatywy i przedsiębiorczości, ale pilnowanie, aby swoboda handlu nie zamieniła się w bezład liberalistyczny. Są to zresztą rzeczy, o których trudno jest pisać w krótkiej recenzji. Wspominam dlatego o nich tylko mimochodem.

Książka Mosdorfa mimo pewnych niedociągnięć jest jednak książką wyjątkowej wartości, a czyta się ją z niesłabnącym zainteresowaniem. Świetnie opanowany styl autora pozwala połknąć ten skąd inąd bardzo wyczerpujący traktat w stosunkowo krótkim czasie.

Książki nie streszczałem, bo nie mam zwyczaju tego robić. Każdy, kogo interesują choć trochę sprawy polityczne, powinien do dziełka Mosdorfa sięgnąć, a choćby nie we wszystkim zgodził się

z autorem, odłoży książkę z poczuciem, że przeczytał rzecz niecodzienną i niezwykłą. Podkreśliłem natomiast i omówiłem te punkty, które mnie osobiście specjalnie uderzyły. Skorzystałem tu z prawa wolnego wyboru przysługującego recenzentowi.

Na marginesie tej recenzji chciałbym zwrócić uwagę na pewien szczegół. Książka Mosdorfa wychodzi jako 6 i 8 tom biblioteki tygodnika „Prosto z mostu". Wszystkie książki, które się w tej bibliotece dotychczas ukazały powitane były z wielkim zaciekawieniem, a żadna z nich nie przeszła bez echa. Trzy z nich — mimo specjalnych „gustów" jury — kandydowały do nagrody młodych PAL'u. Książka Mosdorfa jest dalszą cenną pozycją tego wydawnictwa, utrzymującego się — wydawaćby się to mogło cudem — bez żadnych subwencji i pomocy.

Jan Dobraczyński

GŁOSY CZYTELNIKÓW

CHRZEŚCIJAŃSKI NACJONALIZM, A SPRAWA UKRAIŃSKA

„Tez naszych nie uważamy za ostateczne" — mówi Dr Stomma w swym artykule pod tytułem „Elementy chrześcijańskiego nacjonalizmu" (Pax Nr 2 — 1938 r.) „rzucamy je do dyskusji".

A więc dyskutujmy. Nie tylko nad artykułem p. Stommy chcę dyskutować, ale nad ideą, której cień (czy też światło?) — pada na cały cytowany numer Paxu, który, rzec można, cały ten numer przenika.

Czołowymi wyrazicielami ducha owego numeru są: w pierwszym rzędzie p. Stomma, następnie prof. Oskar Halecki, w swym przemówieniu p. t. „Misja dziejowa Polski" i — last not least — p. Adolf Bocheński. Generalizować nie będę, lecz sprowadzę próbę postawienia teorii chrześcijańskiego nacjonalizmu, przedstawioną w Paxie — do życia do tętniącego życiem i aktualnością problemu ruskiej mniejszości w Polsce [1]).

Wprawdzie p. Stomma zaznacza w swym artykule, w odnośniku, napisanym drobnym drukiem, że wspaniałomyślne poparcie ze strony Państwa Polskiego w celu utworzenia niepodległej Ukrainy, ma się odnosić li-tylko do Ukrainy, leżącej za Zbruczem. Ten odnośnik jednak jest tak blady w stosunku do treści całego numeru, że trudno go uważać za coś innego jak za furtkę, przez którą będzie można się wycofać z entuzjastycznych, choć — jak p. Stomma to sam zaznacza — nie całkiem jeszcze skrystalizowanych teorji. Mam przekonanie o wysokim i bezkompromisowym idealizmie p. Stommy i wierzę, że z tego idealizmu bezpośrednio biorą swój początek próby sformułowania — mówmy szczerze — n a s z e g o p o l s k i e g o stanowiska, wobec mniejszości (znów sprecyzujemy!) r u s k i e j, tak abyśmy w swym sumieniu, mieli poczucie, iż działamy zgodnie z ideologią katolicką.

Wychodzę więc z założenia, że całość artykułu p. Stommy i całość tegorocznego 2 n-ru Paxu — wbrew oświadczeniu zawartemu w owym nikłym odnośniku — robi wrażenie, jakoby autorowie, cytowani wyżej, chcieli teorie chrześcijańskiej (?) miłości bliźniego, dochodzącej aż do bohaterskiego samozaparcia się i poświęcenia ze strony całego polskiego narodu, zastosować do ludności ruskiej, zamieszkałej nie poza granicami, lecz w o b r ę b i e dzisiejszych granic Rzplitej Polskiej.

Z tym właśnie założeniem polemizuję. Krytyce poddaję przede wszystkim metodę, której używają panowie z Paxu w poszukiwaniu definicji nacjonalizmu: w Polsce formuły takiej nie wolno dedukować z teorji takiego, lub innego zagranicznego filozofa — my musimy wychodzić od życia do teorii. Wszak nigdzie zagadnienie nacjonalizmu nie jest bardziej żywotne jak w Polsce.

Tymczasem istnieją umysły nieprzeciętne, które „ludzkości całe ogromy obejmują" (jednym spojrzeniem, jedną koncepcją) „z końca do końca". Takim orłem ma być prof. Halecki: podobnie wnikliwym historiozofem wydaje się być p. Stomma, nie Lwowianin, a jako nie Lwowianin, ma nawet do pewnego stopnia prawo teoretyzować. Natomiast, znane już ogólnie, czysto teoretyczne podejście do kwestii nacjonalizmu p. Adolfa Bocheńskiego, uchodzącego za niezwykle bystry i głęboki umysł, jest nieusprawiedliwione; wszak p. Bocheński jest stałym mieszkańcem Małopolski Wschodniej, a pomimo tego, pulsujący życiem i krwią sentyment, który w sposób nieunikniony, splata się na tym terenie z każdą próbą sformułowania teorii nacjonalizmu, nie zabarwia wcale jego śmiałych programów. Śmiałych — bo trzeba prawdziwej odwagi cywilnej, by iść przeciw silnemu liczebnie i ideowo Stronnictwu Narodowemu które w Małopolsce Wschodniej ma może siłą bezwładu, a w każdym razie, milczącą zgodą ogółu przyznany monopol patriotyzmu. Pojętemu w duchu Stronnictwa Narodowego patriotyzmowi, jakżeż diametralnie sprzeciwiają się tezy p. Bocheńskiego! Więc albo p. Bocheński bohatersko walczy o triumf nowej nieznanej Prawdy, albo śmiem to twierdzić — umysł jego jest do tego stopnia teoretyczny (byłby prawdziwym geniuszem matematycznym), że wznosi się ponad poziomy życia, w stratosferę cyfr, przesłanek i logicznych wniosków tak wysoko, iż życie i jego ciepło i jego Prawda, nie są w stanie go dosięgnąć. I dlatego nie wchodzi ono w jego rachubę, nie wywiera wpływu na jego koncepcje.

Przystąpcie do tej kwestii metodą indukcyjną. Nie chcę wmawiać, jakoby ona jedynie była słuszną, dlatego tylko, że ja ją za taką uważam Wszak szukacie prawdy: wszystkie drogi prowadzą do prawdy! Spróbójcie i tej, którą ja wam wskazuję. A zacznijcie od tego: Zaczerpnijcie płucami, wciągnijcie w wasz organizm atmosferę Lwowa: wprowadzi was ona w samo sedno, w sam wulkan kwestii nacjonalizmu. Idźcie zobaczyć wewnętrzne podwórze Gmachu Głównej Poczty, schludnie od zewnątrz odrestaurowanej, a wewnątrz ziejącej niezagojonymi ranami, posiekanych przez kule murów: nieme to, acz pełne tragicznego patosu świadki, kilkudniowej, zażartej obrony nieletnich żołnierzy. Przeczytajcie Orlęta Schroederal Wreszcie pójdźcie na cmentarz Obrońców Lwowa i tam wśród śmiertelnej ciszy setek grobów, czytajcie nazwiska związane z historią obrony tego miasta w roku 1918:

> Battaglia baron Andrzej, lat 23.
> Jaszcz Tadeusz, lat 19, uczeń 8-ej klasy gimn.
> Haluza Wilhelm, lat 15, uczeń 6-ej kl. gimn.
> Bitschan Jerzy, lat 14...
> Kozłowska Stefania, lat 17, modniarka...

i tyle innych nazwisk, których wiele zdobi nadto wzmianka: Krzyż Obrony Lwowa, Krzyż Walecznych... Nad tym cmentarzem unosi się coś, jakby uśmiech, ale uśmiech wyradzający się w tragiczny grymas dziecka, na którego zbyt słabe barki spadł najcięższy z męskich obowiązków: obowiązek śmierci. Dziecko ten obowiązek spełniło, ale jego niedojrzała mentalność, została nim powaloną jeszcze ciężej, niż ciało, złożone śmiercią: w tym tragicznym uśmiechu, wiszącym nad grobami młodocianych obrońców, jest jakby niema prośba do dorosłych, do następców o uznanie, o potwierdzenie, że słusznie uczynili ci mali, iż poszli w nieznane światy, właśnie wtedy, gdy t e n ś w i a t zaczął ich zajmować i budzić w nich zapał do życia. Lwowska poetka J. Gamska-Łempicka tak pisze:

> „Ten szereg mogił, co w mgłach drzemie,
> wtulony w drobne palce traw,
> to nasze lwowskie Akademie,
> to szereg naszych szkolnych ław".

M u s i przejść naukę w tej elementarnej szkole, kto chce budować teorie na temat przyszłych stosunków polsko-ukraińskich.

Nieco dalej na cmentarzu Łyczakowskim, jest nagrobek ukraińskiego poety, Iwana Franki (ur. 1886, um. 1916), którego jubileusz obchodziło uroczyście ubiegłego roku społeczeństwo ukraińskie. Umieszczono na nim rzeźbę atlety, mocną w wyrazie: atleta olbrzym, trzyma w rękach topór i wali nim w skałę, wykuwając przyszłość swojego narodu. Pod takim ciosem skała musi się rozprysnąć!

Jest w symbolice tego olbrzyma dynamika, rodzącego się nacjonalizmu, owo, cytowane w artykule p. Stommy „vouloir vivre" Folliet'a, które rzekomo ma obowiązywać, chrześcijańskie społeczeństwa do tolerancji — ba nawet do popierania tworzącego się, nowego, obcego organizmu. Lecz jest w owym symbolu na grobowcu ukraińskiego poety, także ta siła, która powaliła owe rzesze „Orląt", spoczywających opodal na cmentarzu obrońców... Cmentarz Łyczakowski jest, utrwaloną w kamieniu, historią Lwowa: niezmiernie pouczającą jest ta poglądowa lekcja historii: Ów cmentarz, do początków obecnego wieku, jest bezwzględnie polski. Spoczywają na nim, obok Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, Seweryna Goszczyńskiego i wielu innych wybitnych Polaków — rodziny ruskie, o nazwiskach uważanych dziś za obce, ukraińskie. Kto się zasłuchał dziś z owymi „ukraińskimi" nazwiskami z lwowskiego patrycjatu, stanowiącymi obecnie przednią, bo inteligencką straż antypolskiego szowinizmu, ten przekona się, na podstawie nagrobków tych rodzin, pokrytych napisami w pięknej polszczyźnie, jak świeżo przedzierzgnęli się ci ludzie w przedstawicieli odrębnego narodu. Już obecnie trudno bez zdziwienia odczytać epitaphium takiej n. p. rusinki, Anieli Maćków z Koniecznych (ur. 1846, um. 1918), która cały swój majątek zapisała na cele Towarzystwa Szkoły Ludowej (był to dowód szczerego, biało-amarantowego patriotyzmu owej rusinki, nie należący, zresztą, w owym czasie, do wyjątków). Co więcej: aż na Cmentarz Obrońców Lwowa, dotarły śmiertelne szczątki z nazwiskami rusinów: „Grech Pańko, greko-katolik, lat 26, rzeźnik, walczył jako Żarnowski; Krzyż Obrońców Lwowa, odznaka Rycerzy Śmierci" — brzmi jego epitaphium; Greszczuk Mikołaj, Jarema Michał, Maryniakówna Olga — oto kilku, z pomiędzy wielu rusinów, którzy polegli w walce przeciw Ukraińcom za polskość Lwowa i Małopolski Wschodniej.

Zaczerniałe te napisy świadczą o organicznym zespoleniu życia ruskiego z polskim przez wiele, wiele wieków.

Od roku mniej więcej 1920 oblicze cmentarza ulega zmianie: nowe nagrobki rusinów, noszą napisy literami cyrylicy, odbijające jaskrawością od, pokrytych szlachetną patyną wieków, napisów polskich. Nie rzadko są one przyozdobione kolorami niebieskim i żółtym — symbolem wojującego ukrainizmu. Zmiany te nacechowane są gorączkowym pośpiechem, rażą swą świeżością: usiłują coś zatrzeć, coś głośno reklamować, często niezręcznie, zawsze sztucznie. Trudno się oprzeć wrażeniu maskarady, jakie robią te początki nacjonalizmu ukraińskiego. W miarę jednak lat, przybiera on na sile — przekształca się wyraźnie w samoistny organizm, ale soki żywotne czerpie ze starego organizmu, na którym wyrósł. I temu n o w o t w o r o w i, chcą panowie z Pax'u przyznać równe prawa ze starym organizmem? I to w imię chrześcijańskiej etyki? — Gdzież jest powiedziane w katechizmie, że nasze własne dzieci mamy oddać na pożarcie smokowi dlatego, że smok wyrósł przypadkiem na jednej z nami glebie i potrzebuje zjeść?

Kogo nie oburza wielkie, rozkrzyczane piskle kukułki, wypierające z gniazda prawowite potomstwa ptaka, który je zbudował?!

Panowie z Wilna, mają pewne prawo teoretyzować. Ale my tu, w Małopolsce Wschodniej widzimy codzień, jak nas ów nowy organizm, który chce żyć i jeść — codzień wypiera z naszych domostw, jak „nieznani sprawcy" niszczą po wiejskich cmentarzach polskie nagrobki (ruskie jak wyżej wspomniano do początków tego wieku wogóle nie istniały), jak księża greko-katol. zacierają w pięknych, drewnianych cerkiewkach polskie napisy — dowody, iż te, uzurpowane przez nacjonalistów ukraińskich zabytki, rzekomo narodowej ich sztuki, wyrosły ze specyficznych warunków tutejszego życia, a były dziełem rąk i pieniądza polskiego.

Niebezpiecznie jest z przykazań Bożych dedukować teorie polityczne. Ale nie równie niebezpieczniej jest wypaczać, prawo naturalne, prawo Dekalogu, które uczy: kochaj bliźniego, j a k siebie samego. Czyżby teoretycy z Pax'u chcieli być bardziej „katoliccy" od Dekalogu, wzywając do zapoznania własnych interesów narodowych w imię miłości bliźniego p o n a d miłość samego siebie?

Krew dzieci poległych w obronie przeciw rozrastającemu się, kosztem Polski, obcego organizmu, musi być tym m e m e n t o, które stoi u podstaw każdej próby rozwiązania zagadnienia mniejszości ukraińskiej w Polsce. Jeśli bowiem głosem Bożym nazwano głos ludu, to jakimże mianem określić ów zbiorowy, na instynkcie samozachowawczym oparty, odruch „Orląt"?

Wreszcie owo uznanie ze strony Niemca za naszą metodę pochodu na wschód wydaje mi się problematyczną pochwałą, zwłaszcza, gdy równocześnie wytyka się naszemu narodowi łatwość, z jaką daliśmy się wyplenić, jako Słowianie, nad Łabą (Pax Nr. 2, str. 4. Sprawozdanie z referatu prof. Haleckiego p. t. Misja dziejowa Polski). Porywy mieliśmy, mamy i mieć będziemy zawsze szlachetne: to, tkwi w naszym charakterze narodowym. Czy jednak owo skurczenie się nasze nad Łabą, a załamanie się kulturalne na wschodnich rubieżach, nie jest dowodem słabości raczej, pod pozorami szlachetnego liberalizmu?

Słabość zaś jest przeciwną duchowi chrześcijańskiemu i zarówno słabość w rozumowaniu, jak też we wprowadzeniu w czyn wyników dojrzałego rozumowania. Dlatego rozumujcie, stwarzajcie teorie. Oprzyjcie je jednak, na podstawach realnych. W tym celu niewolno pominąć ani jednego momentu, składającego się na całokształt rzeczywistości. Jeślibyście tego zaniedbali, — praca wasza, nie będzie rzetelną i może spowodować wypaczenie poglądu katolickiego na sprawę nacjonalizmu, a co za tym idzie, wypaczenie przyszłości naszej dziejowej misji.

br. H. P. M.

---

[1]) W Małopolsce Wschodniej, na podstawie odwiecznej tradycji, nazywamy szczep zamieszkały tamże, obok Polaków, R u s i n a m i, natomiast termin „Ukrainiec" oznacza w pojęciu tutejszych mieszkańców polityka, który pragnie zerwać z tradycją i oderwać te ziemie od Państwa Polskiego, w celu utworzenia z nich t. zw. Zachodniej Ukrainy. Tej nomenklatury używać będę w niniejszym artykule, jako jedynie słusznej.

BEZ ORĘŻA

Do cyklu krzyżowych wypraw, tak umiłowanych przez Kossak-Szczucką przybywa powieść o jeszcze jednej krucjacie. Inna to krucjata, bezorężna: na czele jej staje św. Franciszek z Assyżu, wyruszając na podbój całej ludzkości. Nie tylko świata pogańskiego: najbliższą troską Franciszka jest właśnie świat chrześcijański, tak już zastygły w formalistyce, w zacietrzewieniu przeciwko kacerzom, świat, który w ciągłej walce zagubił ducha prawdziwej, wszechludzkiej miłości.

Groźny koniec wieku, widziany oczyma Innocentego III: Kościół, rozrywany licznymi sektami, chwieje się w posadach. Toczy go czerw. Panoszy się w nim wyniosły, pyszny duch kardynała Pelagiusza, duch opacznie pojętej świeckiej potęgi Kościoła. Papież Innocenty III widzi jasno: rozumie, że cały świat chrześcijański, tak daleki już od zasad Ewangelii, potrzebuje odrodzenia. I wtedy właśnie jawi mu się postać Franciszka z Assyżu.

Czy św. Franciszek w powieści Z. Kossak jest zupełnie prawdziwy, zgodny z powszechną intuicją w odczuciu świętego, zgodny z tradycją literacką i religijną — to kwestia do dyskusji. Niewątpliwie można zakwestionować prawdziwość postaci, a raczej jej literacką stylizację. Św. Franciszek w powieści — to „żongler boży", apostoł absolutnego ubóstwa i nieustannej radości, dziwaczny w swej bezkompromisowości, śmieszny w sposobie bycia, a naiwny w obcowaniu z ludźmi. Z pewnością wielu czytelników, którzy znają św. Franciszka ze studiów literackich czy nawet z „Kwiatków", odczują stylizację Z. Kossak jako sztuczną, zbyt przesadną — rozumiem, że może ona wywołać nawet chwilowe repulsje. Nie święty Franciszek jest jednak bohaterem utworu. Chodzi o samego ducha franciszkanizmu, który będzie odtąd przesączał się poprzez zaskorupiałość dawnych poglądów do ludzkich umysłów i serc.

Franciszkanizm: a więc rehabilitacja natury ludzkiej, tak oskarżanej przez średniowiecze. „Wyzwolić człowieka" woła św. Franciszek w rozmowie z Janem de Brienne. Nie złamać, ale wyzwolić. I tu Kossak wprowadza piękny motyw Sfinksa: to on właśnie, tajemniczy olbrzym, staje się symbolem człowieka, natury ludzkiej, oczekującej wyzwolenia. Sfinks, „Ojciec grozy". Narazie ta chwila wyzwolenia wydaje się jeszcze bardzo daleka: św. Franciszek dowiaduje się, że nawet jego dawni współtowarzysze odstąpili od reguły. Ale zasiew nie jest stracony — światowy trubadur Divini przystaje do Braci Mniejszych, poprzez ciężkie przeżycia i przemyślenia przychodzi do Boga król Jerozolimski, Jan de Brienne. Ziarno kiełkuje.

Nowa powieść Z. Kossak ma bardzo szeroki zakrój: odtwarza przełom dwóch kultur, dwóch epok. Średniowiecze przeżywa się, nadchodzi nowa era. Przygotowują tę nową epokę różne zjawiska, nie tylko franciszkanizm. Oto w trzech uczonych budzi się wśród grobowców egipskich demon poznania: „Zmilkli i kroczyli dalej, niezdolni opanować samych siebie ni sprzecznych uczuć lęku, bezsilności i żarłocznej chęci poznania. Spoglądali wokoło półprzytomnym wzrokiem, dziwiąc się prawie oddziałom wojska, namiotom, zwykłemu obozowemu gwarowi. Ledwo zaznany starożytny świat pochłonął ich całkowicie, ogarnęło nieuleczalne pragnienie: Zobaczyć! Zrozumieć! Wiedzieć!" (T. II, str. 144). Przed zdobywczym umysłem ludzkim otwierają się nowe horyzonty, wzmaga głód wiedzy. Świta humanizm.

Trudno „omówić" tak bogatą, wspaniałą książkę. Trudno nawet wspomnieć o wszystkich jej płaszczyznach. Wielowarstwicowość to jej naczelna cecha. Bo obok epoki, widzianej z kilku stron i w kilku aspektach odtworzonej spotkamy tam i wiecznego człowieka wszystkich czasow w jego duchowej rozterce i wędrówce ku Bogu. Tak właśnie głęboko i prawdziwie ludzki jest Jan de Brienne. Jego dzieje i przeżycia pozwalają zupełnie zapomnieć, że istnieje między nami „wieków przedział".

Obcowanie z jutrzenką nowej kultury — obcowanie z człowiekiem — ze zwartym, silnym stylem autorki: w tej sugestywności tkwi siła talentu Zofii Kossak i czar jej powieści „Bez oręża".

Ir. Sł.

---

[1]) Z o f i a K o s s a k: *Bez oręża*. Nakł. Księg. Św. Wojciecha [1937].

WYDAWCA: TOWARZYSTWO PAX. REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: ZBIGNIEW CIEŚLIK

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40, półrocznie 3.90 zł.; kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: 1/1 str. 500 zł., 1/2 str. 280 zł., 1/4 str. 150 zł., 1/8 str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 701.234
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 16-ej do 17-ej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 16-ej do 17-ej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49.

